



IV. 10.000 A 7 15. X 37.

X

ALEKSANDER KRASNIAŃSKI



1 9 3 8
NAKŁADEM SYNDYKATU DZIENNIKARZY ŁÓDZKICH
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI S. SEIDELT SP. Z O. ODP.

DAR

W.P. Wydawnictwa
dla
MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBL.
w Łodzi
№ 34930 dn. 6/XII 1987

77495/64

Nazwisko i imię

Zajęcie

Znak statystyczny

Adres

Kieszonka

B-172  Wydawnictwa Akcydensowe S.A. Olsztyn, ul. Żelazna 3
tel. 89 533 52 13 www.wa.olsztyn.pl biuro@wa.olsztyn.pl PL



ALEKSANDER KRAŚNIAŃSKI

1900 — 1929

ALEKSANDER KRAŚNIAŃSKI

- 1938 -

WIOLONCZELE
i KSIĘŻYC

884-1 + 9(438)(Łódź)

1 9 3 8

NAKŁADEM SYNDYKATU DZIENNIKARZY ŁÓDZKICH
SKŁAD GŁÓWNY: KSIĘGARNIA S. SEIPELT SP. Z O. O.

tabl. 1.



O
D ZAKŁADY GRAFICZNE
B „OSTOJA”
I ul. JADWIGA KOTKOWSKA
T ŁÓDŹ, ANDRZEJA 14,
O TELEFON Nr. 169-44.

Gdy dzisiaj piszę słowa wspomnienia o przedwcześnie zmarłym poecie Aleksandrze Kraśniańskim, już tylko nieliczni z pośród łodzian pamiętają jego nazwisko. Szybki bieg historii i brak w społeczeństwie powojennym pietyzmu dla twórczości poetyckiej, raczej dla tego rodzaju sztuki skłonność do pogardy, sprawiły, że pomimo talentu i zasług śmierć z zapomnieniem zawarły przymierze nad postacią młodego poety; kołowrót wydarzeń zdołał niejedno zgładzić w pamięci ludzi życzliwych; przypadek, przez niedbalstwo zachęcony, zawinił, że większa liczba rękopisów zginęła; wciąż niedostateczne środki materialne chętnych, próżne obietnice niektórych, wreszcie obojętność nakładców odebrały nadzieję na rychłe wydanie pośmiertne ocalonych jeszcze od zguby utworów. Tak po ośmiu latach od skonu poety wyglądają losy jego spuścizny; są tu i owdzie ledwie zachowane, przynależne do różnych okresów jego krótkiego życia, w czułych albo obojętnych rękach — gdzieś — kartki, zeszyty, nawet rozproszone po kraju, coraz to bardziej luźne i niekompletne. Marzenie autora o własnej książce, niespełnione przecież za życia, pozostało do tej pory bez realizacji; wśród mnogich zbiorów, rzucanych każdego sezonu na rynki księgarskie, między cenionymi przez koneserów tomikami nie było zamierzonego tomu „Wiolonczele i księżyc”. Niniejszy zbiór składa się z części utworów odnalezionych, jest niekompletny, może z czasem uda się go uzupełnić.

Kim był Kraśniański? Czym wyróżnił się w plejadzie młodzieńców piszących, których każde pokolenie ma niemal

o setkę zawiele? Daleki od snobizmu modnisiów literackich, pnących się na parnas kawiarniany w bengalskich ogniach autoklasy, skłonny do samotności i zadumy, nie dbał o rozgłos; ledwie kilku zaufanym zwierzał się z trosk autorskich i czytał niewyschłe jeszcze rękopisy. Do szuflad, wypełnionych brulionami młodzieńczych utworów, nie mieli dostępu ci, co są pozbawieni wrażliwości na magię poetycką; perswazje przyjaciół, aby posyłał wiersze do redakcji dzienników, rzadko skłaniały go do drukowania. Mus wewnętrzny wystarczał, aby pisać, — czegoż więcej wymaga się od liryka?

Życie brutalnie obeszło się z młodym poetą, nie przebaczyło mu jego wrażliwości, nie znalazło zrozumienia dla cichej muzyki strof, ani łaskawości dla słabego oporu wrażliwej organizacji poetyckiej. Zagroziły mu drogę kamienne przeszkody, obojętność, wyzysk i niewierność, których nie umiał przewyciężyć, broniąc się napróżno melancholią i refleksją. Poezja, miłość i ciężar szarej codzienności to główne motywy jego życia. Miłośnikom poezji, szperaczom w dziejach kultury, wreszcie pamiętliwym współczesnym należy się, aby z pod zapomnienia wydobyte było to nazwisko; zmarłemu, — aby przetrwał w wierszach takim, jakim był: prawdziwym poetą. Z muzyki strof o rzadko spotykanej piękności odrysują znawcy profil artystyczny autora, z garści wspomnień ułożą obraz minionych dni, — wczesnej epoki powojennej na gruncie łódzkim, z niewygasłego czaru i wzlotów lirycznych, jak z kwiatów magnolii i jaśminu, uwiją wieniec, — jak to u nas przystoi — poniewczasie, na czoło zmarłego poety.

* * *

Aleksander Kraśniański urodził się w Łodzi 5 maja 1900 roku w rodzinie żydowskiego komiwojżera rodem z Winnicy (na Podolu). We wczesnym dzieciństwie osierocony przez ojca, rósł w ciężkich warunkach życiowych pod opieką matki i siostry - nauczycielki. Lata chłopięce jego pokolenia przypadły na czas wojny światowej, czas powszechnych zbrodni i przemian. Łódź robotnicza od

sierpnia 1914 roku na długo stała się obozem wojennym; pulki rosyjskie, bagnety, armaty i tabory ciągnęły po dniach i nocach przez wyludnione ulice. Fabryki zamarły, Łódź wstrzymała oddech. Szkoły zamieniono na szpitale dla rannych. Wczesny okres życia wypełniły komunikaty sztabu, odgłosy bitwy, panika, epidemia, głód. Młodzież rozumiała straszliwą grę dorosłych. Oczy piętnastoletnich, których pozbawiono dzieciństwa, widziały broczącą w krwi granicę dwóch epok; na krawędzi stało widmo nieznanego jutra nad złowróżącą otchłanią czasów nowych.

Bombardowanie Łodzi przez Niemców zastaje Kraśniańskiego, czwartoklasistę z „handlówki” (Szkoły Handlowej) w gorączce tyfusowej w szpitalu imienia Poznańskich, gdzie walcząc ze śmiercią, słyszy jęk rannych i huk pękających nad miastem granatów. Po długiej chorobie wraca do szkoły. Zaczynają się ciężkie lata okupacji niemieckiej. Chodziło się wtedy do szkoły o głódzie i chłódzie, żywiąc się zmarzłymi ziemniakami i zakalcem gliniastego chleba, sprzedawanego „na kartki”. Młodzież szkolna dojrzewała w wylekłej atmosferze wojny; u progu młodości stały kłęski, wyrzeczenia i przerażenie. Z gleby, zrytej granatami, unosiły się jednak marzenia górne i chmurne.

Powstawały w owym czasie organizacje skautowskie, chłopcy paradowali w szarych koszulach ze wstążeczkami, z odznakami, pod chorągwią harcercską; maszerowały pierwsze zastępy, drużyny, hufce. Chłopcy, ożywieni szczerym jak młodość porywem patriotycznym, ugruntowali w swych duszach niezłomną świadomość polskości, — nie znalazł się nikt wówczas, kto śmiałby temu zaprzeczyć. Widome spełnienie mickiewiczowskiego proroctwa o Ojczyźnie, wyzwolonej podczas wojny ludów, przejmowało nadzieją i radością uczniów ze skautingu im. Tadeusza Kościuszki i z innych skautingów. Prócz ruchu harcercskiego porywały młodzież głębokie nurty socjalizmu, zaczynały się walki o przyszłość, opartą na zasadach sprawiedliwości społecznej. W świecie szkolnym Kraśniański zajął czołowe miejsce. Nie skory do suchej nauki, nieciekawym trudnych zagadek trygonometrycz-

nych zabłysnął wśród kolegów i nauczycieli z talentu poetyckiego, któremu wrócono świetny rozwój. Ulubieniec dyrektora Klossa, z różnych stron zachęcany do pracy nad sobą, otoczony gronem kolegów, darzonych celującymi stopniami za wypracowania z literatury, pisane przez Olka, rósł w przyjaznym klimacie; zalecany jako korepetytor dla młodszych uczniów, zarabiał lekcjami, których nie brakowało, i tak walczył z niedostatkami.

Środowisko inteligentnej młodzieży szkolnej, wtedy nie znającej jeszcze hazardu sportowego, pielęgnowało ambicje książki i koncertu; w tym otoczeniu przeżył młody poeta chyba najpiękniejszy okres swego życia. Była to wiosna pierwszej miłości i pierwszych natchnień, wtedy na kartach ozdobnych albumów wypisywał oktawy zaginionego poematu „Carmen amoris”; — wtedy w parku im. Staszica najpiękniej pachniały krzaki bzu i kasztany, a po nocach śpiewały słowiki. Muza poezji szła pod księżycem fabrycznego miasta po przemienionych w tęczę kałużach ulicy na której mieszkał wiele lat.

Niezapomniane nocne rozmowy przyjaciół! Mówiło się o nowej poezji, recytując z pamięci długie kolumny wierszy, a każda zwrotka budziła wzruszenie i zachwyt niewysłowiony; mówiło się o odnowicielskiej fali romantycznego futurizmu, otwierającego sezamy artystyczne. Za uzbierane przez przyjaciół pieniądze ukazał się wtedy (1919 r.) jedyny numer pierwszego w Łodzi czasopisma literackiego pod nazwą „Tańczący ogień”. Do składu redakcji prócz Kraśniańskiego i piszącego te słowa należało jeszcze kilku zapaleńców.

Tak rodziła się poezja — bez programów, wśród burzy i naporu, jak duch, który wionie, kędy chce... Z owymi zamierzczłymi już czasy związana jest na zawsze sylwetka młodego poety o ciemnych oczach, pełnych zadumy, w maciejówce na bakier, w pelerynie, z logarytmami i nowym tomem Staffa pod pachą. Nie była to ani bohema, ani poza byroniczna, ale źródło samorodnej liryki, świadome swego osamotnienia. Skąd tryska źródło, z którego czerpie

poeci? Jedni z gleby, przepojonej krwią milionów, inni z pragnień umęczonych mas, z żaru własnego sumienia. Niektórzy — z woni jaśminu, z poświęty księżycowej, z upojnych dźwięków wiolonczeli, z nietutejszej tęsknoty za pięknem.

Rok 1920 powołał pod broń najmłodsze roczniki; z ławek szkolnych wyszła Armia Ochotnicza. Wkrótce po apelu Naczelnika Państwa Kraśniański wstępuje do kadry kolejowej.

W czerwcu 1920 Kraśniański przyjmuje religię katolicką w parafii św. Józefa w Łodzi.

Powrót na ławę szkolną zakończył epopeję wojenną. Przyszła wreszcie matura. Życie powojenne potoczyło się po wyboistej drodze, pełnej kontrastów i zawiedzionych nadziei. Szerokie wpływy uzyskali z bogaceni na wojnie parweniuse, a jednocześnie nędza mas wzrosła bezgranicznie. Z tego okresu pochodzi mocny wiersz p.t. „Artystom”, tak zakończony:

„A zaszę flusty burzuj, zadużany w sobie,
Znający się na sztuce, by wół na klejnotach,
Przed objawionem pięknem w zwisły kark się skrobie
(Jakże doń wszystko w podłych mizdrzy się zalotach!)
Aż ciśnie garść banknotów łapą swą mięsistą
Tobie, któremu w nędzy zdawna twarz wybladła,
I ozdobi twe dzieło, szczęśliwy artysto,
Ordynarną sypialnię paskarskiego stadła!...

W tych warunkach normalne studia uniwersyteckie napotykały na nielada trudności. Kraśniański, zapisany na Wydział Prawa w Warszawie, przez pewien czas pracuje w stołecznej P.K.O., dla braku mieszkań ulokowany w Milanówku, pisze wtedy wiersze, owiane cichym smutkiem prowincji. W tych wierszach jak w pamiętniku utrwalał przeżycia i wspomnienia.

Po roku porzuca posadę w P.K.O. i wraca do Łodzi, tu otrzymuje zajęcie w kilku redakcjach, jednocześnie prowadzi w spółce z kolegami agencję prasową, jest czynnym

członkiem Syndykatu Dziennikarzy Łódzkich. Pisze felietony, sprawozdania sądowe, ulotne wierszyki; w piśmie Kokorzycznego „Wolne żarty” drukuje dla zarobku utwory liryczne pod pseudonimem „Pierrot”, ulegając z konieczności wymaganiom redakcyjnym.

Upiływają lata wyczekiwania, siły się wyczerpują. Oddany ciężkiej pracy zarobkowej, uczy się jednocześnie i składa szereg egzaminów na uniwersytecie. Nie znajduje szczęścia w krótkotrwałym małżeństwie. Rozgoryczony i zaniebany, stroni od ludzi, nie bierze udziału w bujnym wtedy życiu literackim stolicy.

Pisze coraz bardziej smutkiem przejmujące wiersze i zachowuje je w rękopisach.

Ale życie i gruźlica czynią postępy. Jeszcze opieka, ratunek i pomoc mogłyby przedłużyć tulaczkę poety po obojętnym świecie, ale próba ratunku przychodzi za późno. Chory już zbyt ciężko, wyjeżdża do Zakopanego, aby tam dnia 7 stycznia 1929 roku dokonać życia w zupełnym osamotnieniu.

Na cmentarzu zakopiańskim w obliczu gór można odnaleźć zapadły grób Aleksandra Kraśniańskiego.

* * *

Liryka Kraśniańskiego stanowi przejaw uczuć osobistych poety, powstałych na tle kontrastów, w które obfitowało życie młodzieży wojennej. Romantyzm ze wszystkimi akcesoriami, tradycja poezji Słowackiego, indywidualizm Staffa i świeży wpływ autora „Nocy Listopadowej” i „Wesela” zderzyły się z potęgą wypadków historycznych i usunięte zostały na ostatni plan subiektywnego odczuwania. Stąd — rozdarcie wewnętrzne, nieukożona tęsknota zawieszona za wcześniej i rozczarowanej młodości.

Skłonność do marzeń, pragnienie obcowania z przyrodą, szczególne zamilowanie do egzotyki, będące usiłowaniem ucieczki od życia i jego problemów w krainę fantazji, uderzyły kontrastem w twarde warunki bytowania wśród murów brudnego miasta fabrycznego czasu wojny. Liryzm Kraśniańskiego to żal i smutek czulej jednostki w społeczeństwie, pochłoniętym walką i dalekim od szukania

subtelnych konturów duszy poetyckiej; zaostrej się walka klas i rosnące na jej tle antagonizmy narodowościowe zostawiły młodych inteligentów na uboczu, dając im poczucie osamotnienia.

W ostatnim okresie twórczości Kraśniański z romantyzmu często przechodzi w przesadny sentymentalizm, obracając się wciąż w zaczarowanym kole życia osobistego. Nie unika nieraz łatwizny; zachęcony niewybrednym powodzeniem sentymentalnych erotyków, pisze ich coraz więcej; mimo to, potrafi zdobyć się na mocny wyraz uczucia. Przypomina nieco analogicznego poetę starszego pokolenia, Feliksa Przysieckiego. Nowatorskie prądy poezji rosyjskiej nie dotyczą Kraśniańskiego, działa na niego tylko czułościowy Siewieranin w utworach mniejszej wagi.

Pod względem formy wiersze Kraśniańskiego są wykwiłem polszczyzny; unika modnych już wtedy igraszek słownych i sięga do podstaw emocjonalnej mowy polskiej, korzystając ze zdobyczy Żeromskiego. Poetyka Kraśniańskiego wywodzi się z najlepszych wzorów Młodej Polski, nieraz jest od nich bardziej muzykalna i toniczna. W jego poezji prostota i szlachetność tonu łączą się z siłą wzruszenia; świeżość barw i oczywista szczerłość tchną nieodpartym czarem.

Kraśniański był poetą dla siebie i dla nielicznych. Jego postawę duchową określają słowa rzewnego wiersza:

„Jest ze mną bór i błękit nieba
I pszenicznego lanu szmal,
Więc czegoż więcej mi potrzeba,
Gdy już zapomniał o mnie świat?”

* * *

Niniejszy zbiorek pośmiertny zawiera wiersze wybrane z pośród odnalezionych w rękopisach, które przechowuje siostra poety. Są to najcenniejsze utwory Kraśniańskiego. Niejeden jeszcze piękny wiersz musiał zostać w rękopisie; jeśli okoliczności pozwolą, — i pozostałe *in edita* będą ogłoszone drukiem. Ukazanie się niniejszej książki zawdzięczamy staraniom Syndykatu Dziennikarzy Łódzkich.

MIECZYŚLAW BRAUN

POEZJA

Bądźże mi żywa i prawdziwa,
Bez czczych osłonek i pokostu,
Otwarta, szczerą, prosto z mostu,
Zdrowa, jak dziewczka urodziwa!

Pełna, ogromna, musująca
Jak krew w tętnicach, a sęk w drzewie, —
Dojrzały sad, co w blasku słońca
Sam o bogactwie swoim nie wie!

SAMOTNOŚĆ I.

Jest ze mną bór i błękit nieba
I pszenicznego łanu szmat,
Więc czegoż więcej mi potrzeba,
Gdy już zapomniał o mnie świat?

Jest ze mną młyn i sad jabłeczny
I nieskończoność polnych dróg,
Na których w modry dzień słoneczny
Wyciskam ślad swych bosych nóg.

I w cichą noc na żytnim stogu,
Zdale od gwaru wielkich miast,
Modlę się sam – swojemu Bogu,
Wysłuchany w szept wieczystych gwiazd.

A jeśli śnię, to tak radośnie,
I tylko duży, dobry pies
Z mych uśmiechniętych lic litośnie
Zlizuje ślad bezwiednych łez

SAMOTNOŚĆ II

Na miasta gdzieś mieszkam krańcu,
Jak nędzarz jaki, czy zbój,
Więc jeśli trafić chcesz do mnie,
To buty porządne wzuń.

Małeńka jest moja izdebka :
Oł, trumny spróchniałej cieśń,
Pajęki rajcują w kątach,
Na ścianach wilgoć i pleśń.

Nikt nie przychodzi do mnie
Po całych bożych dniach,
Bo któżby chciał się gramolić
Gdzieś, panie, aż pod sam dach.

Mógłbym się nawet powiesić
Trzy dni bym wisiął tak,
Póki by wraz z mą osobą
Rdzawy nie urwał się hak.

ZJAWY JESIENNE

Kto jesteś ty wytworny i blady poeta
Który w liści jesiennych ognistej zawiei
Z jakąś lila odzianą, wysmukłą kobietą
O zachodzie w parkowej zjawiasz się alei?

Powiedz: czemu swe długie szopenowe palce
Łamiesz, dając je słońcu przeświecić złotemu?
I czemu ona drżąca w liljowej woalce
Ponad astry smętniejsza jest... o czemu, czemu?

Kto jesteście, o, którzy? I czemu w osnutym
Mgłą jesieni ogrodzie w te zmierzchy okrutne
W twarz mą z ostrym jak sztylet choć tkliwym wyrzutem
Zatapiacie swe oczy głębokie i smutne.

I czemu, gdy jak cienie u alej wylotu
Za płomienną znikacie bluszczową sztachetą,
Serce me łka, waszego spragnione powrotu,
O, kobieto nieznana! O, blady poeta!

ŚMIERĆ SAMOTNA

Być może, iż po latach dziad o zgiętym karku,
Przez zbyt cudowne strudzon podróże i jazdy,
Sam jeden w Yellowstońskim zapatrzony parku
W amerykańskie, inne niżli u nas gwiazdy,

Jeszcze raz cię bezsilną przywołam tęsknotą,
O, życie me, symfonio słońc i huraganów!
I nad samotnej śmierci tragiczną prostotą
Zamyślę się, brązowy władca oceanów.

I ku Tobie, Nieznany, starcze wzniosę oczy
I łzy gorące zbroszą w suchy piarg kanionu,
Gdy wkoło zaświatową ciszą mnie otoczy
Niesamowity, groźny park Yellowstoneu.

JA

Jest ze mnie elegancki pan
W srebrzyście szarym garniturze,
Po mieście zawsze chodzę sam,
Kupując fiołki, bzy i róże.

Z uśmiechem dobrym smętnych lic
Tkliwie przyglądam się wszystkiemu,
Słonecznych cudów świata widz,
Raduję się – sam nie wiem czemu.

Wiosenny błękit czystych nieb,
Przesłódko pachnie fiołkami, –
I każdy mnie zachwyca sklep,
Z kolorowymi zabawkami.

Słodycze ust dziewczęcych śnię,
Patrząc na sukien biel i bławat,
I w zachwyt istny wprawia mnie
Piękny za szybą modny krawat.

Gdy u parkowych stanę bram,
Bawi mnie tchnący pikanterią
Dyskretny uśmiech ślicznych dam,
Więc kłaniam im się z galanterią.

W wieczór, płonący złotem zórz,
Gdy wiatr gałęzmi lip kołysze,
Ulicą idzie z pękiem róż
Wytworny pan, co wiersze pisze.

GROTESKA


Sksiężycowiasty pan – romantyk,
Czarodziej mądry, uśmiechnięty.
Pomiędzy wami żyję – antyk.
Jak noc miesięczna – niepojęty.

Trubadur błędny – ach, fantasta
Lirycznych snień wielbiciel smętny
Wśród gwarnych błędzę ulic miasta
Widz obojętny, beznamiętny.

Sam jeden idę – w dal błękitną,
W wiosennych zmierzchań – melancholię,
Kędy, o pani, dla mnie kwitną
Róże mistyczne i magnolie.

Snuję się, snuję wciąż, jak we śnie
Staromodnego życie grajka
W sercu mym jeszcze, ach! – niewcześnie,
Sentymentalnie śpiewa – Bajka.

WIZJA



Po nocach śni mi się Czajkowski
Gdy w parku gra na wiolonczeli –
W miesiąca blasku starzec boski
W puszystych włosów śnieżnej bieli.

Z strun płyną tony przenajczystsze,
Ach, czar się ich wystawić nie da
Specjalnie dla mnie mistrz nad mistrze
Gra Barcarollę i Manfreda.

Przeło się nie dziw, że na jawie
Nikt mi grą serca nie ucieszy,
Choćby mię olśnić chciał łaskawie
Sam wielki Ysaye czy Földessy.

OJCIEC

Piosenkarz ojciec był i hulajdusza,
Serce szerokie miał, jak step podolski.
Pan całą gębą, choć i bez kontusza,
Mina magnacka, a wąs arcypolski!

Jak świat szeroki tłukł się i rozbijał,
W sercach białogłów topił wzrok zbójceki,
Srebrne talary zbijał i przepijał,
Aż ci się ostał, jak święty turecki!

A śpiewał, śpiewał, — toż czyste diamenty,
Spize a srebro, dzwonki a skowronki —
W gardle mu grały, gdy tęsknicą zdjęty
W dom do swej lubej powracał małżonki.

Ejże, bywało w obie dłonie klaśnie!
Ej, jak w stół trzaśnie! i jak się rozśpiewa!
Huknął, jakoby grom zahuczał właśnie —
Trel puścił — słowik w róż ozwał się krzewach!

Lub bając począł. Panie przenaślodszy!
Same ot — z serca bajki mu się przedły...
A cudowności takie! a trzy po trzy!
Duby smalone, że aż uszy wiodły!

Bajał tak, śpiewał, aż się i wyśpiewał —
I na praojców spać przeniósł się łono,
Requiem aeternam! oby się nie gniewał
Bóg na tę duszę nazbyt rozwichrzoną!

*(Wiersz nagrodzony na konkursie poetyckim
Uniwersytetu Warszawskiego r. 1925)*

Z PODRÓŻY

Kiedyś.... na wiosnę... po deszczu... północą...
Gdy półsierp senny wyjrzy z chmur wojłoku,
Przejeżdżać dworską roztrzęsioną bryczką
Przez wieś daleką, odludną, sierocą,
Zawieruszoną w sinych mgłach i w mroku,
Jak żółtą błotnistą wlokąc się uliczką
Nieznaną jeszcze, a tak już znajomą,
Po pełnych wody trzęsąc się wybojach
Między rzędami chat, poszytych słomą,
Śpiących w milczeniu mrocznych sadów głuchym
Wśród stodół, obór, zamarzonych święcie
O ziarnie plennym i sutych udojach.

W bryczce rozparty,
Otulony chłopskim baranym kożuchem,
Olch rozmarzony szelestnym pogwarem
I rozoranych skib wilgłym wyparem,
Zapachem swojskim bryczki i obroku,

Słuchać, a słuchać, jak stęka, jak sapie,
Szkapina biedna, jak po błocie człapie
Jak osie skrzypią i koła klekocą...
Uchyłać czapki przed każdą kapliczką,
Czy Męką Pańską wśród drzew, na zakręcie...
Milcząc, podawać ognia stangretowi...

A nagle, drobnym poderwawszy klusem,
Toczyć się drogą, jak gładkim obrusem
Ku czerniącemu w oddali borowi...
I snem się jeno wydać i wspomnieniem
Tej wsi minionej, a tak już dalekiej,
Wsiąknawszy nikłym i sierocym cieniem
W mgły, co skłębione wloką się z nad rzeki.

JAZDA

O hej, po złotych pól rozłogach, po przestonecznych
jasnych drogach,

Przez borów mrok, a gęstwą wonną pojedziem sobie
dzisiaj konno, rozochoceni,

Upojeni melodią kopyt srebrnodzwonną.

O hej, wśród leśną białą szosą wierzchowce rącze nas
poniosą, ohej rozwichrzą się, uskrzydła, aż im się
pjaną pyski zmydła, a nam źrenice w cud rozblyszną
i szczęściem dusze się zachłyszną.

O hej, w błękitów dal otchłanną koń nas poniesie!
I w rozdzwonionych pól bezkresie utoniem z tobą,
moja panno! Jak wicher, tak wolni i swobodni, wy-
smukli piękni a dorodni, rozochoceni, upojeni, — jaśnie-
wielmożni narzeczeni! — —

O, tak szpicrutą a ostrogą — rumaka ściśnij kolanami!
ha! któż się mierzyć będzie z nami! hej ha!
nie boim się nikogo!
przydrożne łany, łęgi, drzewa, w barwną się smugę
wszystko zlewa, ucieka kędys a przepada! śmieje się

niebo! płoną kwiaty! maków szkarłaty! i bławaty!
świat cały kręci się tanecznie, o jak mi wietrznie, jak
powietrznie, ach, upoiła mnie słonecznie cudowna
świećta galopada.

O, jak mnie wiatr po twarzy smaga! rozpęd się wzma-
ga, cwał się wzмага, jak oszalały pędzę, pędzę, ko-
nia nie szczędzę, sił nie szczędzę, ty zasię obok
dumna, jasna, taka wspaniała, a przekrasna, po roz-
dzwonionym złotem błoniu w bezkres błękitów gnasz
na koniu.

O, jak daleko! jak szeroko! po bezgraniczach hula
oko, o, jak unoszę się w strzemionach! słońce, już
słońce mam w ramionach!

O, słuchaj, tak się jazdą opić, w tych dalach całkiem
się roztopić, w świętym splotu się zachwycie, a
zaprzepaścić hań — w błękicie!

GODZINA CUDU

Wierzchowce nasze drżą i sierścią lśnią złotawą
Ku kwietnej tące rżąc, co mgłą różaną dymi,
O, spójrz: nad lasem hen – zachodzi słońce krwawo
Nad siną wstęgą drzew jak rubin lśni olbrzymi.

O, znijdź-że z siodła, znijdź i daj mi dłoń, o siostrze.
Na trawie siądzem tu, puszczając luzem konie.
Bezmierna cisza wkrąg, upojną wonią ostrą
Soczyste zioła tchną i wiatr lekkuchny wionie.

Gorącą głowę swą na twych kolanach złożę,
A ty nade mną twarz pochylisz uśmiechniętą
I wzbierze w sercu szloch... szczęśliwy szloch... o, Boże,
Przedłużyć w wieczność chciej tę słodycz niepojętą.

Zapłoną włosy twe oblane tuń szkarłatem,
I dotkną moich warg twe wargi malinowe,
Gorącej, słodkiej krwi dyszącej aromatem,
Zabłyśną niby śnieg cudowne zęby zdrowe.

I pijąc miód twych ust, zapatrzę się, szalony,
W przedziwnych źrenic głąb, co niby gęstwa boru
Zielonym mrokiem lśnią. Cud spełni się wyśniony
Wśród rozmodlonych pól i w ciszy przedwieczoru.

Bo oto serca dwa najświętsze zawrą ślub,
Uczuwszy w głębi swej kochania moc tajemną.
I przyjdzie chwila ta, gdy szepniesz mi: »O, luby,
Tak mi się płakać chce... coś ty uczynił ze mną?«

To nic, że konie, rżąc, przynaglą nas do jazdy.
W ekstazie trwając wciąż, przytulisz mnie do łona...
Zapadnie słońca krąg. Srebrnemi szczodra gwiazdy
Owionie czarem nas czerwcową noc zieloną.

BEETHOVEN

W krwawej orgii wyteżeń, męką rozszalała,
Że się górą potwornie wzdętych mięśni wyda,
W wściekłym w bezkresy pędzie, straszna niebywała,
Przepotężna ludzkości pnie się piramida!

Na szczycie jej, na zgiętych karkach wspart i barach
Z granitu tron olbrzymi; zasię na tym tronie
Geniusz! W krwawych błyskawic kosmicznych pożarach
Potworny łeb, gdzie wściekłe szaleją symfonie!

Od dźwięków huraganu' zda się, że rozpęka!
Jak kratery wulkanów, krwawe płoną ślepie
Obłąkane, w wieczności szalejące ślepie!

Wyje w nich najstraszliwsza wszech pokoleń męka
Ludzkości, która z bezdni cierpień zrozpaczona
Stężale w krzyk, doń nagie wyciąga ramiona!

RĘCE

W potędzie jasnowidzeń mych natchnionych nocy,
Gdym dyszał w przerażenia obłąkanej męce,
Widziałem takie nagie dwie olbrzymie ręce,
Symbol prawiecznej pomsty, zbrodni i wszechmocy

Jak z bezdni czarnej wzrosłe, groźne, zacisnięte
W pięści, grożące gwiazdom, krwią ociekłe czarną,
Linami ścięgien wzdęte ogromną koszmarną
Zjawą nad światem zwisły, w głaz bezruchem ścięte!

O, jak szalało serce trwogą! Bo nieszczęście
Okropne, co za chwilę stać się ma, odgadło:
Że jak potworne młoty w potworne kowadło –
W ziemię uderzą straszne, niebywałe pięście!

Aż rozwyje się z bólu, jak zwierz, i rozpadnie
Na miliard brył bezkształtnych, części i atomów!
Ha! jużem słyszał łoskot walących się domów
I krzyk rozpaczny ludzi, co w tej chwili na dnie

Gdzieś leżą, snu niewiedzą objęci przeklętą!
Och, krzyknąć! A tu głosu wydobyć nie mogą
Usta! O, jak na gwiazdnych niebios tle złowrogo
Wizyjnych rąk potworne czernieje memento!

ŻYCIE

Hej! czas słonecznych orgii, szatów i rozścierwień!
Upał batogiem ziemi pierś omdlałą smaga!
Aż wyje wściekłą wonią róż rozpustna czerwień
I krew lubieżą słodką zatruwa, by zgaga!

Upitemu przez nieba płomienną błękitność,
Czującemu, jak ciało rozkosz oszołomna
Parzy, gdy się w traw chłodną nurza aksamitność
Jawisz się dziewczko naga, bronzowa, ogromna!

Siadasz przy mnie, oplótszy wkrąg ściśniętych kolan
Atletyczne ramiona, spowita w ognistość
Włosów, pachnących miodem koniczynnych polan
Jawiąc w uśmiechu zębów drapieźnych śnieżystość!

W urody niebywalej pysze i potędze
Symbol lata i ziemi rozkwitłej a rodnej,
Patrzysz na mnie — człowieka histeryczną nędzę,
Jak u nóg ci się wiję twej miłości głodny!

Choć wiem, iż nazbyt pyszny, niedościgły, twardy,
Jest ogrom twego ciała mym siłom robaczym!
Więc czuję, żem królewskiej twej godzien pogardy,
Boś jest wroga niemocom i nędzom sobaczym!

Och! by cię, ty olbrzymia dziewczko, wziąć w posięście,
Trzeba w piersi swej ogień wulkanów rozpalić.
I pierś mieć, jako skała, a Herkula pięście,
By za kark, ujarzmioną do nóg swych powalić!

Więc darmo cię wśród chutnych pożądań rozjuszeń,
Gdy świat słońcem oszalał w huczącym rozkwicie
Róż! O, jakim czarem przestodkich pokuszeń
Tchniesz ty naga, ogromna, sroga dziewczko—Życie!

RADOŚĆ OSTATNIA

Gdy wiatry wiosenne owieją mi twarz
I śnieg mi topnieje pod butem,
To chodzę śpiewając nieswój i nie wasz —
Po mieście, mgłą słońca osnutym.

Skądś mierzwy, igliwia, fijołków i traw —
Zapach dolata mnie swojski,
W ocean powietrza chce rzucić się wptaw
Mój wielki kapelusz cowboyski.

Jak pszczoły z pękowia, samochcąc, z mych warg
Wiosenne zrywają się słowa,
Prostują się plecy i pręży się kark —
I śmieje się dal fiołkowa.

A dusza się z piersi wrywa — o, hej,
Włóczęgom i dalom znów bratnia,
Bo święta i cudna znów marzy się jej,
Ta wielka Radość Ostatnia.

DRWAL

Widziałem sad; stał w nim okrutny drwal,
O twardy głaz toporu ostrzył stal.
A potem godził w grono kwiatnych drzew
I z pod toporu ciekła strugą krew.
Raniony pień szamotał się i chwiał,
I padał martwy naziem...

Drwal się śmiał.

LI - TAI - PE

O, jakżeś wielki był Li - Tai - Pe,
Gdys w pawilonie z chińskiej porcelany
Bogdychanowi śpiewał rymy swe,
Nieśmiertelnością i winem pijany!

O, jakżeś wielki był Li - Tai - Pe,
Gdy, do dna złotą wysączywszy kruż,
Tys głowę ciężką - w wieńcu krwawych róż
Na pierś Cesarza w błogim chylił śnie.

I wielki byłeś, o, Li - Tai - Pe,
Gdy na ulicach modrych chińskich miast
Tys się zataczał od ściany do ściany,
W cesarskiej szacie z błękitu i gwiazd,
I w błocie leżał - jak bela pijany!

NOC WSCHODNIA

Uwita z lśnień tęczowych bań Szecherezady
Wśród strusich piór, brylantów i rubinów błyski,
Ogrody perskich Szachów, srebrny szmer kaskady,
Przyklęte u stóp władcy smętne odaliski.

Haremów marmurowych rozkosz i zacisze,
Dywany kaszemirskie, rzeźby i mozaiki
Ciał nagich alabastry, kalian i haszysze
Szkarłaty róż, słowiki – wschodniej nocy grajki.

Spowite w szafir mroku nisze i krużganki,
Eunuchów rozmodlonych miecze i turbany,
I w północ skradający się na zew sultanki
Niewolnik o klasycznych kształtach niepoznany.

Złociście purpurowych łóż niezmiernie przepych,
Gorącą wonią tchnące kwiaty egzotyczne.
Namiętny szept kochanków. Żar całunków ślepych.
Półsenny szach, wsłuchany w baśni fantastyczne.

TĘSKNOTA

W ogrodach maharadży, wśród palm i magnolii,
Pod turkusowym niebios ciężkim dusznym żarem,
Księżniczki najpiękniejsze więdną w melancholii,
Trawione nieustannych słodkim żądź pożarem.

Więzionym przez brutalną srogą moc despoty,
Tak smutnie się samotnych snuje dni przedziwo...
U wrót, w porfirze kutych, czuwa tygrys złoty
I lew królewski wstrząsa płomienistą grzywą...

W ogrodach, kędy jęczą modrozłote pawie,
Gdzie przepych barw i woni skroń męczącą tłoczy,
Księżniczki osmętniałe błądzą po murawie,
Ku słońcu wznosząc wielkie rozmarzone oczy.

I bronzem lśnią ich ciała, gdy znużone ciszą
Przy śnieżnobiałych fontann kładną się marmurze...
Nad nimi pstre papugi sennie się kołyszają
I broczą krwią ogromne egzotyczne róże...

I trwają, zastuchane w cytr stłumione granie,
W różane, jak jutrzenka, słońcąc się woale,
Jak cudnie w jedwabistym włosów ich hebanie
Jaśniej almandyny, perły i opale...

To znów, haszyszem pjane, śnią, że oto zaraz
Przy wrotach mordowane bestie się rozjęczą,
I szczękiem tarcz i mieczów wedrą się na taras
Rycerze-młodzi zbawcy, zbrój błyszczą tęczą!...

A w uścisk swój porwawszy ciała dziewic drżące,
Jak wichur na przepysznych pomkną gdzieś bachmatach..
Wtem pryska czar... Dokoła twarze negrów lśniące,
I stary maharadża... w purpurowych szatach...

NELLY

Nikt z was się nie domysli
Że matka pięknej Nelly
Sprzedaje pomarańcze
A ojciec rondle bieli.

Za miastem w małym domku,
Nad dużą, dużą wodą
Oboje pracowity
Pobożny żywot wiodą.

I zacni staruszkowie
Zupełnie zapomnieli
O swej córeczce złotej,
Zielonookiej Nelly.

O Nelly, która wille
Cudowną ma w alei,
A zimą sleeping – carem
Wyjeżdża do Nicei.

Lecz Nelly swych staruszków
Przypomni sobie czasem,
I w koszu im posyła
Cukry i ananasy.

I płacze później gorzko,
Nie wie, co myśleć o tem,
Że groom w czerwonym fraku
Przynosi kosz z powrotem.

LIST Z MIASTECZKA

U nas w miasteczku jak zwykle
Niewiele zmian: co niedziela
Przed sądem i przed ratuszem
Gra policyjna kapela.

Wieczorem w okienkach domostw
Żółte pełgają światełka,
Miejscowy high-life się zbiera
W kawiarni a la Hawelka

Panowie grają w »preferka«
Lub z pasją tną karambole,
A panie piją herbatkę,
Ploteczkom otwartszy pole.

Ja w kącie z panem majorem
Gawędzę o tem i owym,
I Baczewskiego likierek
Popijam starym narowem...

Codziennie pisuję wiersze,
Pełne tęsknoty i smutku,
Gram długo na pianinie
Lub astry zrywam w ogródku.

Wieczorem chodzę no stację
Odbierać pisma i listy,
Powracam plantem wsłuchany
W długie pociągów poświsty.

I czasem, czasem twa postać
Wskrześnie na mig w mej pamięci
I ot, nie wiedzieć dlaczego
Łza się w żrenicy zakręci.

Ale nie! nie! to jedynie
Uparty dręczy mnie katar...
To było przecież tak dawno...
Czas wszystko, wszystko już zatart.

XI KATEGORIA

I.

Jesteś sławny i zamożny
I po świecie chodzisz w glorii,
A ja jestem urzędnikiem
Jedenastej kategorii.

Do urzędu państwowego
Chodzę codzień wczesnym rankiem
W swym paletku wyświechtanym,
W meloniku, ze śniadankiem.

W biurze siedzę w pałąk zgięty
I prowadzę duże księgi,
Piszę czysto i uważnie
Dzieje gorzkiej swej mitręgi.

Ach, bo każda z tych literek,
Arcydzieło kaligrafii,
Dużo, dużo o mej męce
Opowiedzieć ci potrafi.

O snach moich zmarnowanych,
Co w biurową wsiąkły ciszę,
Gdy przez dziesięć godzin z rzędu
Ciągłe piszę, piszę, piszę.

Później liczę i znów piszę
Słowa straszne, martwe, obce.
Ach, dostrzeżesz krwi mej krople
W każdej kresce, w każdej kropce.

Aż się słowa w oczach troją,
Łamają, plotą się w girlandy,
I zatańczą, zawirują
W rytm wariackiej sarabandy.

Tańczą cyfry i literki,
Kreski, kropki i przecinki
Mają różki i języczki
I zjadliwe, chytre minki.

Tańczą, śmieją się szyderczo
Skrzaty czarne i pokraczne,
A ja w taniec ich utkwilem
Oczy smutne i rozpaczne.

II.

Wiesz, mam jeden zwyczaj dziwny
I przestrzegam go najściślej:
Prosto z biura krokiem smętnym
Schodzę na dół, na Powiśle.

Gdy, ty, – kontent, uśmiechnięty,
W eleganckiej restauracji
W gronie pięknych, wonnych kobiet
Siadasz wesół do libacji. –

Mnie na skrzypkach Czarną Mańkę
Muzyk w knajpie gdzieś rzepoli,
A ja sobie przy kieliszku
O swej gorzkiej myślę doli;

O swej gorzkiej doli myślę
I o smutku swym bez granic,
O młodości mej, co mija,
Zgryzołami zżartej na nic.

Myślę, myślę no i piję,
W sufit dymu puszczam kółka,
Później wstaję, później wsiąkam
W ponurego mrok zaułka.

Płynie, mija życie moje
Bez radości i bez zdarzeń,
Tylko w sercu gdzieś hołubię
Strzępy dawnych, świetnych marzeń.

III.

Na Krakowskim witrynami
Często nęci mnie Gebethner,
Tam wśród wielu innych książek
Twoje książki widzę świetne.

I kupuje je publiczność
Elegancka, uśmiechnięta,
Profesorzy, literaci,
Piękne damy i dziewczęta.

I ja twą kupiłem książkę,
(Zaoszczędzi człek, gdy nie zje)
I z ogromnym nabożeństwem
Czytam sławne twe poezje.

I dziwuję się, jak można
Pisać wiersze tak prześlicznie,
Z taką siłą i maesterią,
Tak wykwintnie i rytmicznie.

Ach, i ja pisuję wiersze,
Alem je przed światem schował,
Bo któżby się gryzmołami
Tak nędznymi dziś zajmował!

Wiersze słabe, blade, smętne,
Jak świat stare i banalne,
Zbyt liryczne, romantyczne
I tak mdło sentymentalne.

Powędrują chyba ze mną
Do sosnowej prostej trumny;
Dla mnie jeno biuro, księgi
I tych strasznych cyfr kolumny.

A więc gryź paznokcie z bólu,
Umęczony niewolniku
W glansowanej marynarce,
I w gumowym kołnierzyku!

Bo nie tobie, biuralisto,
Poetyckie śnić wiktorie,
Kontent bądź, że świat ci nadał
Jedenastą kategorię!

U CIEBIE

Taki w zamiejskiej willi pokój niewielki,
Codzień rękoma twymi sprzątany troskliwie:
Staroświeckie, skrzypiące żałośnie mebelki,
Wśród których tak nam dobrze było i szczęśliwie.

Takie wszystkie kochane, panięskie drobnostki
Co duszę hymnem szczęścia owioną zniecka:
Poduszeczki, wstążeczki, dziergane ślicznostki,
Porcelanowe śmieszne na stolikach cacka.

Na krzesłach sztywne, świeżo uprane sukienki,
Słodko tobą pachnące i ciepłym żelazkiem,
O zachodzie skroś aźur firankowy cienki
Słońce ściany wiśniowym malowało blaskiem.

W zimowe zmięczy śnieżne, na serca cichutko
Kładł się czar niewysłowny wiejskiego ustronia.
Przy lampie – ty nad jakąś schyloną robótką
I ja nad książką wierszy kochanych Lechonia.

Ach, długośmy tak nieraz samotnie siedzieli,
Gdy w noc się gwiazdną smętna chyliła szarówka,
A w koło cisza... cisza w liliowej pościeli
Miękkich śniegów śpiącego słodko Milanówka.

Później stół nakrywałaś śnieżnie: do herbatki.
O, konfitury wonne! O, rumiane ciastka!
I było mi jak niegdyś w domu dobrej matki
W przytulnym tkliwym ciepłe dziewczęcego gniazdka.

PIOSENKA

Czy z Ukrainy, czy z Podola,
Czarł wie... z szerokich pono stron
Sławetny wiodę ród i przeto
Szeroki jest mej pieśni ton!

Poetą jestem z krwi i kości,
Poetą ojciec był i dziad,
Śpiewać ich uczył step słoneczny
Miesięczna noc, wiśniowy sad!

I karczma piosnek ich uczyła,
I krwi czerwonej w żyłach pęd
I serdecznego miłowania
Tęskność przestodka, — osmęt, — smęt.

A ja te wszystkie cudowności
W sercu swym noszę — wolny ptak,
I piosenkami cały kwitnę
Jak w sercu róż ognisty krzak!

AUTOPORTRET

Jest we mnie ta przedziwna zaduma słowiańska,
I jest we mnie semicka żywość wyobraźni,
I słodycz chrystianiczna, i dzikość pogańska
Na dnie mej duszy w wiecznej współżyją przyjaźni.

Jest we mnie południowa ognista namiętność,
Jest we mnie roz tęsknione śpiewanie podolskie,
I jest we mnie przesłodka, cicha, senna smętność,
Którą tchną te bezbrzeżne, szare łany polskie.

Jest we mnie przenajświętsze ziemi ukochanie,
Nad którą błogostawne dłonie rozpostarłem,
Jest we mnie jej przeszłości wzniosłej królowanie,
Z której pięknem, na wieki wieczyste się zwarłem.

Tak! wszystko to w mej duszy, pomieszane razem
Żyje wciąż, skrząc i mieniając się barwami tęczy,
A w chwilach świętych natchnień za bożym rozkazem
W tonach mych pień najszczęśliwych harmonijnie dźwięczy

ŻEGLUGA

Coraz to dalej, dalej, dalej
Po życia wartkiej płynę fali,
Płynę i płynę od lat wielu,
A jeszcze wciąż nie widzę celu.

Nie widzę jeszcze tej przystani,
Gdzie mi już serca nic nie zrani,
Gdzie po zmaganiach ze Złą Wodą
Będzie mi jasny mir nagrodą.

Dokoła burza, mrok złowieszczy
A już mych masztów drewno trzeszczy
Może na rafę wpadłszy zdradną
Przed czasem z łodzią pójde na dno.

WIERNY PRZYJACIEL

Sam jeden mieszkam w boru, ja sam i smutek mój,
W tym dzikim legowisku, by leśny zwierz, czy zbój.

Trwa przy mnie dniem i nocą mój wierny, stary druh,
Po mych obszernych włościach chadzamy se we dwóch.

Po bagnach i po jarach, po uroczysskach, hej! –
Chodzimy i szukamy dawnej miłości mej,

A żywie ci w tym boru, w uludnym kształcie ech...
Nieraz mię ze snu budzi jej pusty, złoty śmiech.

I nieraz wśród południa namiętny słyszę zew,
Dzwoni mi skroś gałęzi przycichy, tęskny śpiew.

Więc się oglądam znagła, w bladości trwożnych lic,
Lecz wkoło bór, zieloność, cisza, a wreszcie nic.

A wtedy gnam przed siebie i w dzikim gąszczu tam
W okraku drzewnym siądę i gorzko, gorzko tkam,

I wtulę się, jak dziecko w omszały stary pień,
Zaś smutek mój nade mną – ogromny bład cięń

Otuli mię miłośnie i razem ze mną łka,
Wkrąg jak na żywej harfie na liściach słońce gra.

Tak żyjem, na bezpłodnych skazani gonitw znój,
W ogromnym czarnym boru i ja – i smutek mój.

ODWIEDZINY

Cały owiany nieba rannego błękitem,
Nawskroś pachnący słońcem, ziołami i żytem,
Rośnym, kwitnącym sadem zdrowia i młodości
Pełen, idę do ciebie, nieproszony, w gości,
Lecz wiem, że ci się uda ma leśna uroda
I że wyjdiesz mi przeciw, rumiana i młoda
I bez słowa swe prężne ramiona dziewczęce
Na mój kark zbronzowiły zarzucisz w podzięcie...

ŁABĘDZIE

Tam w czarno-zielonym ogrodzie
Pieśń cichą na lutni ktoś gędzie,
Po fali lustrzanej, po wodzie
Śnieżyste pływają łabędzie.

Już zachód purpurą się pali
Różowiąc posągi i drzewa,
Fontanna się cudnie korali,
A róża wśród woni omdlewa.

Wysmukłe wieżycy cyprysów
Strzelają w pogodne niebiosy,
W kielichach liliowych irysów
Wieczorne, perłowe lśnią rosy.

I cisza jest w całym ogrodzie,
Pieśń jeno na lutni ktoś gędzie
Półsennie pływają po wodzie
Śnieżyste, królewskie łabędzie.

UKOJENIE

Zmęczony jestem bardzo i tęsknię do noclegu,
Tu na wsi mnie jabłonie od złych uroków strzegą,

Słowiki wkrąg szaleją i chóry żab rechocą –
Najświętsze zmiłowanie przychodzi do mnie nocą.

Znów mi się przypomina dzieciństwa tkliwy motyw,
Już mnie nie nęcą wcale pogwizdy lokomotyw.

Już mnie nie nęcą wcale, wołając, ach, napróżno,
W przepastną tajemniczą daleką dal podróżną.

Mnie cisza na ramiona błękitne dłonie kładzie,
A księżyc jest mi zwykłym milczącym gościem w sadzie,

Ach, to nie życie wcale, to w modrym śnie zatrata,
Zawczasu mnie owiewa uroczy czar zaświata.

PODRÓŻ DO HAWANNY

Niechaj to będzie biały jacht, niech zwie się Bajka,
Którym rano o piątej wyruszymy z Gdańska,
Niechaj celem nam będzie: Kuba i Jamajka, –
Niech upoi nas słodko żegluga szampańska.

A za miesiąc wpłyniemy do portu Hawanny,
W zieleń palm, cygar wonność, czerwień parasolek,
Gdzie piękniejsze, niż oczy złotej polskiej panny,
Płoną czarne źrenice bajecznych kreolek!

I nam weśnionym w morza gorący koloryt,
Ekstatycznie śledzących bieg jachtu na mapach
Krwawo usta brunatnych zakwitną sennorit,
Romantycznych awantur owionie nas zapach!

I noc nam każda będzie, jak gwiezdny erotyk!
Dzień, jak wino pijanej, indyjskiej zabawy!
W barw szaleństwie i zorzach skąpiemy się złotych
My – synowie przesmutni dalekiej Warszawy.

W NOC KSIĘŻYCOWĄ

W noc księżycową, a widną bajecznie
Z różą pachnącą przy rozpiętym palcie
Idę, stąpając wdzięcznie i tanecznie
Po jasnych ulic niebieskim asfalcie.

A tak mi lekko, a tak śpiewajco,
A taki rześki jestem i uduły.
Jeszcze na wargach mam twych warg gorąco
I jeszcze tobą na wskroś pachnę cały.



K 261 711

884-11-9

Spis rzeczy

WSTĘP	str. 5
POEZJA	" 13
SAMOTNOŚĆ I.	" 14
" " II.	" 15
ZJAWY JESIENNE	" 16
ŚMIERĆ SAMOTNA	" 17
JA	" 18
GROTESKA	" 20
WIZJA	" 21
OJCIEC	" 22
Z PODRÓŻY	" 24
JAZDA	" 26
GODZINA CUDU	" 28
BEETHOVEN	" 30
RĘCE	" 31
ŻYCIE	" 33
RADOŚĆ OSTATNIA	" 35
DRWAŁ	" 36
LI-TAI-PE	" 37
NOC WSCHODNIA	" 38
TĘSKNOTA	" 39
NELLY	" 41
LIST Z MIASTECZKA	" 43
XI KATEGORIA	" 45
U CIEBIE	" 51
PIOSENKA	" 53
AUTOPORTRET	" 54
ŻEGLUGA	" 55
WIERNY PRZYJACIEL	" 56
ODWIEDZINY	" 58
ŁABĘDZIE	" 59
UKOJENIE	" 60
PODRÓŻ DO HAWANNY	" 61
W NOC KSIĘŻYCOWĄ	" 62



1562

WBP im J. Piłsudskiego
w Łodzi



230000225869

Nazwisko i imię

Zajęcie

Znak statystyczny

Adres

Kieszonka

B-172  Wydawnictwa Akcydensowe S.A. Olsztyn, ul. Żelazna 3
tel. 89 533 52 13 www.wa.olsztyn.pl biuro@wa.olsztyn.pl PL

DAR

W.P. Wydawnictwa
dla
MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBL.
w Łodzi

No 34930 dn. 6/XII 1987

27495/64